

JEZUS PATRZYŁ NA MNIE

Działo się to w 2011 roku. Poznałam przystojnego, młodego mężczyznę, który zawrócił mi w głowie. Wszystko by było dobrze, gdyby nie fakt, że miał żonę i syna. Jak sobie teraz o tym przypominam, to nadal czuję wstyd. Zaczęły się spotkania, kawy, wspólne wyjazdy. Wmawiał mi, że będzie się rozwodził, że będziemy razem. Zaczęły się imprezy, alkohol... i ciągle kłamstwa. Straciłam kontrolę nad swoim zachowaniem i nad swoim życiem. Rzuciłam nawet pracę, bo obiecywał mi, że otworzy mi sklep. Wszystko było zaplanowane. Odsunęłam się od przyjaciółki, bo on był ważniejszy. Trwałam w tym po uszy od maja do października. Pewnego dnia zaczęło się coś psuć. Mój partner zaczął mnie unikać i nie miał dla mnie czasu. Sklep nie został otwarty. Już nie naciskałam. Zaczynało do mnie dochodzić, że byłam tylko rozrywką na chwilę...

W tej sytuacji czas spędzałam w domu. Któregoś dnia mama namówiła mnie, by pójść do kościoła, bo w parafii właśnie miała się zacząć peregrynacja obrazu Jezusa Miłosiernego. I poszłyśmy. Wtedy stało się coś niesamowitego. Odwróciłam się w stronę drzwi, bo wnoszono obraz. Gdy go zobaczyłam, zaparło mi dech. Nie da się tego opisać. Poczulałam się, jakby naprawdę wchodził Jezus! Patrzył na mnie. Czułam Jego obecność. Wchodził do mojego serca. Łzy płynęły mi po policzkach. Coś pękło w moim sercu. Poznałam Jezusa... Przyszedł do mnie.

Pamiętam, że po Mszy poszłam uklęknąć przed obrazem Jezusa Miłosiernego oraz relikwiami św. Siostry Faustyny i św. Jana Pawła II. I kolejne niewyjaśnione zdarzenie: zaczęłam odmawiać Koronkę do Miłosierdzia



Bożego... Kiedyś może miałam ją przed oczami, ale nie mogłam jej pamiętać. Od tamtej chwili Koronka jest moją modlitwą. Po trzech dniach, gdy obraz odjeżdżał, było mi smutno, a zarazem czułam się szczęśliwa, że Jezus był, że przyszedł do mnie. Do mojego serca. I w nim pozostał. Wcześniej też chodziłam do kościoła i modliłam się, ale teraz nastąpiła ogromna zmiana... na lepsze. To było doświadczenie poznania Boga, który zniżył się do mnie. I wiem, że z Jezusem przyszła mi z pomocą św. Faustyna. Moja Siostrzyczka. Gdy dowiedziałam się, że 4 października 2015 będzie udostępniona cela za klauzurą, w której ona zmarła, pragnęłam tam być. Prosiłam Boga, żeby się udało. I udało się. Byłam z mamą. Niesamowite przeżycie...

Po peregrynacji haftem krzyżkowym wyszłam duży obraz Jezusa Miłosiernego. To moje wotum za wszystko, za ocalone życie. Teraz obraz, z którego emanuje jakaś moc, wisi u mnie w pokoju. Chciałam się tym wszystkim podzielić i serdecznie podziękować za wielkie rzeczy, które uczynił mi Pan.

Ż. W.

UFNOŚĆ NIE ZAWIEDZIONA

Moja historia zaczęła się dawno temu, w latach szkoły podstawowej i liceum, gdy chodziłam na piesze pielgrzymki do Częstochowy. Tam pierwszy raz usłyszałam, nauczyłam

się i pokochałam Koronkę do Miłosierdzia Bożego, poznałam historię św. Siostry Faustyny i obrazu Jezusa Miłosiernego. Odtąd już nigdy nie byłam sama. Nauczyłam tej modlitwy moją babcie (w latach 90. XX wieku nie wszyscy o niej słyszeli); w czasie jej ciężkiej choroby przez 5 lat modliłam się przy jej łóżku słowami tej Koronki.

Pan Jezus pomagał mi dobrze wybierać w życiu, choć nie wszystko mi się udawało, potykałam się i upadałam wiele razy, ale to, co najważniejsze: odpowiedzialność za bliskich, za ich i moje zbawienie, wiara, modlitwa i miłość rosły we mnie każdego dnia. Poślubiłam wspaniałego człowieka, zamieszkałiśmy z jego rodzicami i rodzeństwem. Żyjemy tam skromnie do dzisiaj.

Po dwóch latach małżeństwa – w Sylwestra 1998 roku – przyszło pierwsze poronienie, w siódmym tygodniu ciąży. Rok później w 13. tygodniu ciąży pozamaciczna – pęknięta. W 2002 roku – obumarcie płodu w siódmym tygodniu. Ile łez, bólu i cierpienia kosztowały nas te doświadczenia. O tym wie tylko Bóg. Z perspektywy czasu wiem, że nic nie dzieje się bez przyczyny. Wtedy bolało. Bardzo. Za każdym razem coraz bardziej. Buntowałam się, obrażałam na Pana Boga i wracałam do Koronki, do Maryi, której zawierzyłam swoje małżeństwo (ślub braliśmy w maju).

Wreszcie trafiłam na specjalistów w Lublinie, na lekarza, o którego się modliłam, mądrego i mimo dosyć młodego wieku zajmującego się takimi beznadziejnymi przypadkami, jak mój.

Leki, ciągle wizyty, badania, ból... przez kolejne miesiące nie przynosiły rezultatu. Aż wreszcie w maju 2004 roku okazało się, że jestem w ciąży. Tak bardzo się bałam, by nie utracić dziecka, że nie wiedziałam jak chodzić i oddychać... Ciężę przeleżałam i przemodliłam z różańcem w rękę. Mimo że ciąża była bardzo zagrożona, to jednak w styczniu 2005 roku urodziłam przez cesarskie cięcie zdrową i piękną córeczkę, której nadałiśmy imię Weronika. Wtedy dopiero zrozumiałam, na co tyle lat czekałam. Zrozumiałam też słowa, że Pan Bóg daje takie krzyże, które damy radę unieść. Od urodzenia swoją córeczkę poświęciłam św. Siostrze Faustynie i obiecałam, że przyjadę do Krakowa osobiście, by za nią podziękować. Czas szybko uciekał i tę obietnicę spełniłam dopiero w 2014 roku, gdy Weronika była już po Pierwszej Komunii Świętej, a w naszej parafii organizowana była pielgrzymka do Sanktuarium Bożego Miłosierdzia w Krakowie-Łagiewnikach.

Gdy dotarliśmy do celu i uklęknęłam przed cudownym obrazem Jezusa Miłosiernego i przy grobie św. Siostry Faustyny, nie umiałam znaleźć słów, by za wszystko podziękować. Jako wotum złożyłam swój drewniany różaniec, który był świadkiem historii mojego życia, a kupiłam nowy, z relikwiami św. Siostry Faustyny, dla siebie i męża.

Po powrocie z pielgrzymki weszliśmy w wir życia. W krótkim czasie mąż został bez pracy, a ja byłam w kolejnej ciąży. Odnalazłam lekarza z Lublina, ale za późno. W uroczystość Niepokalanej straciłam kolejne dziecko. Nie mogliśmy w to uwierzyć, ale znów z różańcem w rękę prosiliśmy o narodziny drugiego dziecka. W 2015 roku urodziłam drugą, zdrową i piękną córkę, która otrzymała imię Dominika. *Jezu, Nadziejo moja jedyna* – powtarzam za św. Faustyną – *w Tobie położyłam ufność całą i wiem, że nie będę zawiedziona.*

K. S.